

renumerata
miejscowa i za-
miejscowa wy-
si rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedyn-
czy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:
Słowo petitem 1/2
ent., garmoutem
1 ent., za duże
litery oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
desłane“ 10 ent.
od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Od Redakcji.

Dziwną się zapewne wyda niejednemu znającemu nasze stosunki pod względem prasy u nas — zwłaszcza prowincjonalnej — odwaga założenia nowego czasopisma.

Przyznajemy, stosunki dla wydawców są wcale niekorzystne, a w Stanisławowie może gorsze niż gdzieindziej. Mamy jednak nadzieję, że pismo periodyczne, dobrze redagowane, przełamie trudności, wzbudzi chęć do czytania u naszej inteligencji, ożywi ruch literacki naszego miasta dotychczas w błogim śnie pogrążony, słowem skieruje czytającą publiczność na inne tory.

Miasto takie jak Stanisławów do trzydziestu tysięcy mieszkańców liczące, gdyby było miastem niemieckim miało by z dziesięć czasopism, między temi i dzienniki. W niemieckich miastach co

prawda nie ma analfabetów i ludzie są zamożniejsi.

U nas z tej masy ludności kto czyta? Czy te masy nieoświeconego żydostwa, czy ci mieszczanie, albo nie albo książkę do modlenia czytający, a mający kalendarz uważany jest za erudyta. — U nas liczy można tylko na inteligencję. — Gdybyż ta choć czytać chciała, czyta, to nie da się zaprzeczyć, ale co i jak? Panowie czytają w kasyjach i kawiarniach jeden lwowski dziennik, zresztą „Pressy“ i „Blatty“, panie i to tylko niektóre trzymają osławiony „Przegląd“ dla tego, bo tani i ma dobre powieści.

Przyznajemy, że pismo periodyczne w politykę się bawić nie może, jeśli nie chce stać się śmiesznym — ileż jednak jest spraw ekonomiczno-społecznych, których omówienie w każdym czasie jest możliwym. Są dalej sprawy krajowe i sprawy miastowe.

Dlatego to odważamy się wystąpić z pismem nowem.

W programie naszym polityka światowa miejsca mieć nie będzie, prócz króciutkiego wyciągu najważniejszych wypadków z ostatnich dni dziesięciu. Bo znajdą się i tacy, którzy ze względu na taniość, prócz naszej, żadnej gazety czytać nie będą.

Głównie omawiać będziemy sprawy ekonomiczno-społeczne, kronika miejscowa i w wyciągach zamiejscowa zajmie ważne miejsce, dalej krytyka teatralna i t. p.

By zwłaszcza panie gazetką naszą zainteresować, umieszczamy oddzielny dział powieściowy i humorystyczny.

W końcu polecając nasze pismo łaskawym względem publiczności, prosimy P. T. literatów i artystów, pierwszych do zasilania gazety artykułami krótkimi a jedrnymi, zwłaszcza o korespondencje z prowincji prosimy —

W czem nasza siła?

Naród polski świetną kartą w historii poszczycić się może. — Zaiste dziwnem się nawet dzisiaj bezstronnemu wydaje, dlaczego potomkowie tych dzielnych Sarmatów, którzy piersią swą całe chrześcijaństwo przed załewem hord tatarskich i wojsk tureckich przez tyle wieków bronili, dzisiaj tak z planu zeszli, że zatraciwszy byt państwowy, podzieleni pod zabory obcych mocarstw z wyjątkiem małej swej części składowej, mianowicie polacy galicyjscy — którzy dzięki szczęśliwym okolicznościom i wielkoduszności swego monarchy w całej pełni praw obywatelskich zażywają, reszta pod zaborem rosyjskim i pruskim zaledwie wegetują, nie mogąc nawet marzyć o bycie politycznym i narodowym. — Trudną zaiste jest rzeczą osądzić dzisiaj jakie były najgłówniejsze powody, dla których ten naród tak silny, tak piękne mieć mogący nadzieje, co się tyczy

swej przyszłości i rozwoju politycznego padł w taki rzec można rozkład i doprowadził do zupełnej ruiny państwowo-narodowej. Bo z zatraceniem bytu politycznego i samowiedza narodowa chromać poczęła, naród gnębiony tylu nieszczęściami — stracił wiarę w Boga i swą siłę narodową.

Nad przyczyną klęsk narodowych i zupełnej utraty niepodległości naszego narodu nie tu miejsce się zastanawiać. — Spróbujmy tylko w krótkości podać rys samopomocy, w jaki sposób powinniśmy się w naszym przegębieniu ratować, wzmacniając siły, hartując ducha. — Rozmaite są środki zaradcze, rozmaite też cele i dążenia, które nas wysoko postawić powinny — tak przynajmniej, ażebyśmy idąc z duchem czasu, jeśli nie przodowali innym narodom cywilizowanym, takowym dotrzymywali kroku w ogólnym postępie cywilizacji.

Do czego wiara w lepszą przyszłość, zapal i praca wiodą, mamy najlepszą naukę na naszej sztuce. — Czyż zaiste nie należy czo-

łom uderzyć przed tą rzeszą wybranych, którzy z aureolą sławy i geniuszu na czole, po szerokim świecie imię polaka chwałą i uznaniem roznoszą? — Mimo tylu klęsk, mimo odebrania nam wszystkiego, bo chciano i chcą nam język odebrać, wiarę naszą wygubić, przemienić nas w jakieś inne plemię, słowem wynarodowić. W takim nieszczęśliwym dla nas okresie, sztuka polska nietylko, że nie upadła, nietylko że na równi z sztuką innych narodów stanęła, lecz nawet niejednokrotnie takową przewyższyła.

Któryż naród, takich Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, takich Kraszewskich, Fredrów, Sienkiewiczów, Matejków, Siemiradzkich, Brandtów i Kossaków nie nazwałby z dumą najlepszymi synami ojczyzny.

Jeśli Niemcy na szczycie swego rozwoju kulturno-państwowego, szczytą się swymi mistrzami sztuki, o ileż więcej na chwałę zasługują nasi mistrze, którzy należąc do narodu bez swobód, bez praw niemal, walcząc z niechęcią, zawiścią i nieszczególnymi

drugich zaś do nadsyłania rysunków humorystycznych i karykatur.

W Imię Boże rozpoczynamy numerem obecnym wydawnictwo „Nowin Stanisławowskich“.

Zaduszki.

Już w zamierzonych czasach pogańskich były dni pamięci zmarłym poświęcone. Scenę taką przedstawił nam wieszcz nasz Adam Mickiewicz w „Dziadach“, gdzie guślarz wywołuje duchy zmarłych. Kościół jak wszystkie święta pogańskie zastosował do świąt chrześcijańskich, tak i zaduszki czyli dziady pogańskie zamienił na dzień wszystkich świętych.

Palenie świec i wieszanie wieńców, wszystko to zabytki pogańskie, ustał tylko zwyczaj noszenia na groby jadła i napoi, obserwowany obecnie tylko w Chinach.

Zwyczaj to piękny i nie można przeciw niemu występować, obowiązkiem naszym jednak jest zwrócić uwagę publiczności, że można w sposób pożyteczniejszy oddawać cześć zmarłym, niż to się obecnie dzieje.

Umarli niczego już od nas prócz modlitwy nie potrzebują, tego też żałować im nie powinniśmy, czy to jednak nie jest pogańskiem, rywalizować jeden nad drugiego w oświetleniu i przystrojeniu grobów? Czyż ci, którzy budują istne wieże, zawieszając na nich mnóstwo różnokolorowych lampionów sądzą, że najlepiej swych zmarłych uczcili? Więcej warta łójówka sieroty niż transparenta bogaczy; tam widać prawdziwy pietyzm, tu pychę i żądę chwalenia się swem bogactwem.

Pięknym jest zwyczaj strojenia grobów alegorycznymi obrazami n. p. z „Polonii“

Grottgera przez naszą patrijotyczną młodzież, bo obrazy takie, prócz pracy nie wiele kosztują, a podnoszą ducha patrijotycznego młodzieży, również jak śpiewy i hymny.

Bardzo dobrą jest myśl sprzedawania prostych krzyżów z czterema lampkami na cel patrijotyczny. Tyle mamy takich celów: Fundacja imienia Kościuszki, Oświata ludu, Wawel, a obecnie gimnazjum w Cieszynie i tyle innych.

Dlatego wzywam naszą znaną z patrijotyzmu publiczność, by zerwała z dawnymi zwyczajami, a takie krzyże kupowała.

Źródła dochodu.

Galicja, jak powszechnie wiadomo jest krajem ubogim, ale przyczyna tego ubóstwa w nas samych leży.

Dział ekonomiczny, handlu i przemysłu leży u nas odłogiem.

W dzisiejszych czasach nie wystarcza już sadzić kartofle i siać zboże, o resztę się nie troszcząc. Wobec konkurencji zagranicznej, zwłaszcza Ameryki, musimy się oglądać za innymi źródłami dochodu, prócz zbytu płodów ziemnych. Biermy przykład z żydów, n. p. w Stanisławowie, ile rodzin żydowskich żyje z wywozu jaj? Czyż chrześcijanie nie potrafiliby tej sztuki, by po wsiach jaja skupowali, do skrzyni ładowali i za granicę posyłali? Nie tak to trudno, trzeba tylko chcieć, a wszystko da się zrobić.

Żydzi również prowadzą handel eksportowy fasolą, rakami, drobiem, nie mówiąc już o handlarzach wołów. Chrześcijanie tylko nierogacizną handlują i do tego nierządki żydowskich agentów używają.

Nie myślę żydom bronić ich zarobku, ale nie rozumię dlaczego chrześcijanie nie poszli za ich przykładem.

Jest u nas wiele sadów, ale jak one wyglądają? kto się o nie stara? ot co Pan Bóg da. Zje robak, to nie ma nic — przyjdzie lepszy rok, to się coś zbierze. Warta widzieć sady Niemców, jak oni przez cały rok koło drzew owocowych chodzą, czyszczą z robactwa, korę gliną smarują, obcinają z wilków, szczepią, na zimę od mrozów zaopatrują, dlatego mają piękne owoce dla siebie i na sprzedaż. Otóż mamy znowu źródło dochodu.

Rzek u nas i stawów mnogo. Gdyby przestrzegać należycie ustawę rybacką, gdyby zarybiać rzeki i stawy, kopać sadzawki i zarybiać, mielibyśmy znowu źródło dochodu.

Do tematu tego jeszcze powrócimy.

Eta.

Zgromadzenie ludowe.

Dnia 21. października odbyło się w sali restauracji Korytowskiego Zgromadzenie ludowe z następującym porządkiem dziennym: 1) Zagajenie, 2) Stanowisko robotników wobec ministerjum Badeniego, 3) Wnioski.

Zagaja zgromadzenie prezes Weidler: Hr. Badeni zostawszy namiestnikiem powiedział, że socjalistów wyniszczy, to mu się nie udało, chociaż mówią o nim, że ma rękę żelazną. Stosunki polityczne tak się zaostrzyły, że reforma wyborcza musi ostatecznie przyjść do skutku. Musimy robotników nauczyć poznać polityczne stosunki. — Postarano się, aby nam nie dać pozwolenia na Zgromadzenie, dwa razy nam odmawiano, aż teraz pozwolenie otrzymaliśmy.

Następnie przemawia Daneek, znany socjalista ze Lwowa. Szanowni obywatele! Proletariat zszeregował się, by powitać nowy gabinet. — Proletariat nie jest w stanie sypać kwiaty, bo jemu sypią ciernie pod

stosunkami materialnymi swych ziomek, mimo tego wszystkiego na tak wysoki poziom literaturę i sztukę polską wzniesli.

Zatem literaturę mamy bogatą, sztuka nasza stoi wysoko, czego nam jednak brak najwięcej? w czym nasza siła? do czego najwięcej dążyć powinniśmy?

Dobry gospodarz naprzód stara się o rolę i dobytek, a gdy spichrze jego pełne, gdy obory jego pięknem bydłem przepelnione, gdy był jego materialny na silnych stoi podstawach, wtedy po pracy szukając wypoczynku, oddaje się godziwej zabawie, myśli o literaturze i sztuce.

Gospodarzem tym nasz naród — ale ten gospodarz — w czasach ciężkich porozbiorowych, wprzód pomyślał o zabawie, nie pomnąc, że rola źle obrobiona, źle rodzic będzie, a dobytek zmarnieje, gdy się go nie dogląda starannie. Naszem zadaniem było przedewszystkiem wzmocnić się materialnie, bo gdzie jest dobrobyt, tam sztuki zakwitnąć muszą. Patrzymy na Węgrów — patrzymy na

Czechów, porównajmy ich z nami. Oni w kilku dziesiątkach lat stworzyli u siebie silny przemysł i zdrowy handel a literatura i sztuka ich, mimo tego, a może właśnie dla tego wcale nie ucierpiały.

Popatrzmy u nas, prócz nielicznych cukrowni w Królestwie, prócz trochę przemysłu w Łodzi i innych polskich miastach, zresztą przemysł nasz leży odłogiem. Nie powiadam ani zachęcam, ażeby przemysł miał u nas wszystko opanować. — Polska była zawsze spichrzem Europy, Polacy rolniczym byli narodem, samo położenie geograficzno-klimatyczne wskazuje, że przedewszystkiem rolnikami być winniśmy. Ale obok roli nie należy zaniedbywać przemysłu, bo tam tylko dobrobyt może być rzeczywistym, gdzie rolnictwo idzie z przemysłem w parze. Cóż z tego, jeśli największe masy zboża wyprodukujemy, kiedy po pierwsze z powodu konkurencji z Węgrami, Ameryką a nawet Australją, nasze plody surowe dziś za ledwie kosztą produkcji zwracają, a w latach nieurodzaju,

jeszcze dopłat i nakładów wymagają, a po drugie za ciężko zapracowany grosz, wszystko co nam do życia codziennego jest potrzebnem, za drogie pieniądze sprowadzać musimy.

A gdybyśmy z tym systemem zerwali, gdybyśmy u siebie przemysł stworzyli, pieniędzy wzięty z zagranicy za zboże i inne plody, zostawałby w kraju z wielkim dla nas pożytkiem. Bo gdyby nasze fabryki wyrabiały produkta zagranicznym nieustępujące, nie placilibyśmy tak wielkiego podatku za transport, cło zupełnieby odpadło i mielibyśmy jeszcze tę moralną pociechę, że nasz pieniądz zostawałby w kraju i my byśmy się bogacili, zamiast jak dziś cudzoziemcy na nas interesa robiący.

Wglądnijmy tylko lepiej w tę sprawę, a zobaczymy na jak zły jesteśmy drodze. Pomijam Królestwo i Poznańskie, choć i tam nie wiele lepiej pod tym względem niż u nas, popatrzmy tylko na naszą Galicję.

Mamy w Galicji autonomię, szkoły i urzędy w języku krajowym, mamy własną prasę

nogi. — W tej chwili tysiące proletariuszy staje, by walczyć dalej o swoje prawa. — Gabinet Badeniego nie wstrzyma nas od wytkniętego celu, pójdziemy za naszą chorągwią. Zarzucają nam, że jest u nas wiele analfabetów, nie jest to naszą winą, lecz tych panów, którzy nas gnębią, wstrzymują nasz rozwój umysłowy, n. p. w gimnazjach zaprowadzają mundurki i inne nowości, by biednych od szkół wstrzymać. — Zastanówmy się jaką drogą szedł proletarjat. — Hrabia Taafe długo wodził proletarjat za nos, on gnębił lud, zaprowadził stan wyjątkowy w Czechach (głosy: hańba!) — Koło polskie ma prawie decydujący głos w parlamencie, ale zamiast uzupełnić konstytucję 3. Maja, oni są naszymi wrogami i na cięgi zasługują. Rutowski wynalazł dziwoląg, chciał podzielić społeczeństwo na 5 klas, ale mu się nie udało i koalicja musiała runąć. — Jeśli Badeni chce całą Austrię trzymać pod takim obuchem jak trzymał Galicję, to nie mogę mu długich wróżyć rządów. Badeni splamił się wydaniem rozporządzenia do starostw, by przeszkadzać walnym zgromadzeniom proletariatu. — Badeni mimo pozorów sprężystości był właściwie niedołężnym. Z zimną krwią stowarzyszenia potwierdzał, by je na drugi dzień pod blahym powodem rozwiązywać. — Mowca chce krytykować ostatnie wybory do sejmu, komisarz rządowy sprzeciwia się temu, ponieważ to nie należy do programu. — Proletarjat mimo presji nie cofnie się i dążyć będzie do powszechnego prawa głosowania. — Komuna francuska zagrzebała socjalizm i postawiła krzyż na jego grobie, a mimo to idea socjalizmu zmartwychwstała i coraz się wzmacnia.

Następnie mówi Eliasiewicz też znany socjalista. Mówi dalej o Badenim. Gdy się deputacja robotników udała do Badeniego,

nie chciał z nimi nawet mówić i kazał im powiedzieć, że ma na nich bagnety. — Chce on iść śladem Bismarka, ale mam nadzieję, że pójdzie on prędzej „na śmiecie“ niż ten ostatni.

Dalej mówi Weidler. Zastanawia się nad sprawozdaniem poselskim Hofmokla. mówiąc, że ten ma umysł zaciemniony i nie wie co znaczy wyraz demokracja, a reformę wyborczą Taafego uważał za nadto demokratyczną.

Gdy nikt wniosków nie stawiał, zamknął przewodniczący zgromadzenie.

Wogóle wszystko jak rzadko u tych ludzi odbyło się w największym porządku, a żandarmi przed domem ustawieni nie mieli nic do roboty.

Z powodu braku miejsca wstrzymujemy się z uwagami do następnego numeru

Kronika.

Kalendarz. Piątek (1.) Wszystkich świętych. Sobota (2.) Dzień zaduszny. Niedziela (3.) F. 22 po Św. Huberta. Poniedziałek (4.) Karola Borom. Wtorek (5.) Elżbiety. Środa (6.) Leonarda w. Czwartek (7.) Engelberta. Piątek (8.) 4 Koronatów m. m. Sobota (9.) Teodora m.

Z życia towarzyskiego. W sobotę dnia 26. listopada b. r. pobłogosławionym został w kolegiacie łacińskiej związek małżeński między p. Emilem Szajerem asystentem pocztowym i panną Bronisławą Świecińską.

Na polowaniu w Radczy zabito oprócz innej drobniejszej zwierzyny także wspinałego jelenia. Rzadki to okaz w naszych lasach, musiał widocznie z gór tu zabłądzić spłoszony polowaniem lub przez wilki pędzony. — A propos wilków, w O-pryszowcach, wiosce do Stanisławowa przyległej mają się już pojedyncze wilki pokazywać, goszczą one tam co zimę w wielkiej

ilości, pod same chałupy podchodząc, ale tak wczesnie jak tego roku nie uważano je już dawno, z tego chłopci rokują wczesną i ostrą zimę. — Możeby nasi myśliwi pomyśleli nad obławą i przetrzepaniem skóry tych szkodników. — Obecny sezon nieszczególnym jest do polowania, zajęcy mało a ciąg słońek też nie dopisał.

Nieporządki w naszym mieście wszelkie przechodzą granice. Kto przed laty za burmistrzostwa Kamińskiego miasto zwiedzał, przyjechawszy dziś, wydziwić się nie może co się z tem czyszcikiem wtedy a brudnym i odrapanym dziś miastem stało. — Kupy gnoju, błota i gruzów zalega ulice, znane z niechlujstwa żydostwo, uważa ulicę jako ustęp publiczny i śmieciarę; kaczany, łupy, skorupy, to barwna ale mniej wonna mozaika naszych ulic. — Fatalny pomysł urządzania trotuarów asfaltowych odbija się dziś na nas, nietylko bowiem, że pieniądze na asfalt wydane w błoto poszły, ale obecnie przy słylnem otwieteniu ulic, rozbić nos lub wykrećić w dziurach w asfalcie wyżłobionych nogę, nie należy do rzadkości. — Nie potrzeba daleko szukać, obok kawiarni Bassa asfalt tuż przy ścieku ma wyżłobienie tego rodzaju, że podczas deszczu noga sama się tam zsuwa, by się wykrećić. — Dziwna rzecz zaiste, burmistrz nasz, człowiek godny z wszech miar szacunku, czy nie może czy nie umie podołać ciężkim obowiązkom na jego barki nałożonym, dość, że źle jest i daj Boże, by się to zmieniło i miasto znów do ładu wróciło.

Nasz dzielny Sokół wprowadził nowość: otworzył czytelną bogatą w czasopisma dla członków, czołem mu za to! — Sokół ma się zająć urządzeniem ślizgawki, po sprężystości Wydziału możemy się spodziewać przyjemnej rozrywki w zimie, bo wiemy, że co Sokół weźmie w swe ręce udać się musi.

Główna propinacja. Zewsząd dają się słyszeć skargi na tutejszą główną propinację. I tak okowita stosunkowo do swej ceny jest znacznie za słabą, żytniówka nie jest taką jak należy, a co najgorsza, spirytus do palenia jest wodą podrabiany. Ta sama ilość

wybitni nasi mężowie w rządzie austriackim, w Radzie państwa najwyższe zajmują stanowiska, na oko więc mamy wszystko czego tylko zapragnąć możemy. Tak jednak nie jest niestety! Zaczniemy od ludu, od tej mrówki roboczej, od tej owieczki, którą wszyscy strzygą.

Lud nasz, tak polski jak ruski, jest dobrym, gościnnym, pracowitym, do ziemi przywiązanym, jest więc materialem na obywateli dobrym, cóż kiedy dotychczas prawie zupełnie surowym. Dla tego komu leży na sercu dobro tego ludu a przez ten lud przyszłe zbawienie Ojczyzny, ten nie przestanie nawoływać „światła!“ „światła!“

Daty statystyczne wykazują w jaskrawy sposób, jak wielką jest u nas liczba analfabetów. Szkoły nasze w ostatnich czasach wiele dobrego zdziałały, przymus szkolny też swoje uczynił, ale czyż to wszystko nie za mało? Prawda! odwiecznych błędów czynionych względem oświaty i odwiecznej ciemnoty ludu nie naprawią lat dziesiątki, na to niemal

wieków potrzeba, ale mojem zdaniem zakładanie po najmniejszych wioskach szkólek, chociażby jednoklasowych, wiele zdziałać może. W szkólkach takich powinni być nauczyciele z ludu powstałi, którzy ten lud kochając, dla niego by chętnie i z pożytkiem pracowali. Nauczyciel taki nie potrzebuje mojem zdaniem mieć wyższego wykształcenia, bo takiego prostaczowie nawet nie rozumieją, byle ich dzieci nauczył czytać, pisać i rachować, Bogu się pomodlić, zaznajomić ich z szczepieniem drzewek owocowych, hodowlą pszczół, umiał poradzić gospodarzom w razie chorób bydła, wtedy choćby surduta nie nosił, w sukmanie chłopskiej więcejby dla swej wsi przyniósł pożytku, niż niejedna nauczycielka przybyła z miasta, uważająca szkołę za rzemiosło, wzdychająca do miejskich paniczów i przyjemności, brzydząca się chłopem, nierozumiejąca go, uważająca się za ofiarę w imię cywilizacji.

Patrzmy dalej, dziś zależność chłopca od pana jest prawie żadną, jednak choćby mnie

kto nawet brzydką nazwą stańczyka miał uraczyć, nie zawaham się mego zdania powiedzieć. Przyznaję, że za czasów pańszczyzny bezprawia się działy, to samo a może i gorzej było w innych krajach. Ale chłop pracując miał opiekę, jeśli pan był dobrym, a że na szczęście zawsze więcej jest ludzi dobrych niż złych w jakimkolwiek stanie, więc mu źle nie było. Chłop wprowadzie głosować nie chodził, ale czy dziś jest moralniej, gdy na ciemnego chłopca presję wywierają rząd i ksiądz i rozmaici podżegacze i agitatorowie i wreszcie wódka i kielbasa. I cóż chłopu z tych praw obywatelskich, kiedy on z nich korzystać jeszcze nie umie, bo jest jeszcze zawsze jak to dziecko, które na pasku trzeba prowadzić. Chłop za czasów pańszczyzny posiadłości nie miał, ale mógł wyżywić i siebie i rodzinę. Dziś jest chłop obywatelem, ma wszelkie prawa, ale korzyści z niego ciągnie rząd, żyd, ksiądz i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tego spirytusu, który tu kosztuje 11 cent. za 8 cent. we Lwowie pali się znakomicie, tak, że go trudno ugasić, a naszego ogniń ledwo się chce imać. Spirytus ten ma jedną tylko zaletę, że go nie czuć (naturalnie, woda nie ma woni), ale przy spirytusie do palenia, główną rzeczą jest własność palenia. — Podrabianie spirytusu jest wprost niemoralnym, nie dość bowiem że obliczone jest na wyzysk publiczności, ale biedniejszą ludność zniewala prawie do „szwarcowania“ spirytusu skąd innad. Co więc propinacja zyska przez dodanie wody, to straci przez „szwarcowanie“. To jest właśnie nieszczęściem, że do licytacji prawa propinacyjnego nigdy chęścijanie nie stają, co najwyżej jako manekiny żydów, a ostatni nabywszy prawo propinacji, prowadzą swój interes: mniejsza by honorowo, byle zdrowo. — Kto ich tam zresztą wie, może sami dzierżawcy są najuczciwsiymi ludźmi, ale kto zaręczy, że „meszuresy“ trunki z beczek toczący coś tam sami nie manipulują? — Komisja sanitarna lub w ogóle władza jakaś powinna w te sprawy wglądać.

Wyrań mięsa. Jak wszędzie na prowincji, tak i u nas prowadzi się wysyłka tucznych wołów do Wiednia, a nam rzucają ochłapy zwierząt raczej do raka, niż do rzeźni się kwalifikujących. — Wół, który już robić nie może, z głodu i starości wychudzony, gdy mu już uwiad starczy zagraża, idzie do naszych rzeźni, z niego to kotlety i befsztyki wyłamują nam zęby, wypróżniając równocześnie kieszenie, bo mięso o ile twarde i złe, o tyle drogie. — Wiemy kto dostaje mięso dobre, ale to tylko wybrani, nie od każdego rzeźnicy są zawiśli, łatwo im się kilku okupić, aby na seekach grubo zarabiać. — Nie ma co wiele o tem mówić, bo to i tak na wiatr, z takich „verba veritatis“ rzeźnicy się śmieją, bo po pierwsze jak powiada Kajcio: „ouwa co mi zrobicie, kiedy ja gazet nie czytam“, a po drugie od czegoż twardość skóry?

Piekarze nasi chrześcijanie, to im przyznać trzeba, pieczywo mają wyborne, ale cóż z tego, sprzedają o mały procent drożej niż piekarze żydzi, a już nasze słynne z oszczędności gosposie kupują u tych ostatnich, ciesząc się i chwając, że dziennie na bułkach centa zarabiają. — Oj gosposie, gosposie, zastanówcie się co czynicie. zarobicie na miesiąc 30 centów, ale za to jecie pieczywo całkiem czarne, z mąki o podejrzałej domieszce bardzo sporysz przypominającej, nierzadko stęchłej. Nie liczcie jednak, że jedna flaszką Hunyady kosztuje 28 centów, a ile tych flaszek idzie na miesiąc w domach, w których się kupuje pieczywo żydowskie. — Ha! jeśli wam tak smakuje sporysz i hunjada, to smacznego apetytu!

Teatr. W teatrze stanisławow-kim gości trupa p. Myszkowskiego. — Pan Myszkowski i jako artysta i jako dyrektor zbyt znanym jest szerszej publiczności, by się dało wiele nowego o nim pisać. Możemy tylko zaznaczyć, że rozporządza bardzo dobrymi siłami; personal jego składa się z przeszło czterdziestu osób, dekoracje są bardzo piękne a kostjumy bogate. P. Myszkowski daje głównie najpopularniejsze operetki, których wykonanie nie pozostawia nic do życzenia. Prócz operetek daje i komedje, życzyć by tylko można, byśmy z polskich komedji i dramatów coś usłyszeli.

Quosque tandem...?! Zmiłuj się Świetny Magistracie, czy do kogo to w ogóle należy,

nie daj nam się topić w błocie! Zgroza przeczywiście, żeby wobec istnego potopu błotnego, takie miasto jak Stanisławów było bezradnem. Już to Bogiem a prawdą źle jest, gdy konia kują, a żaba nogi nastawia. — Stanisławów, a raczej ci co nim rządzą, chorują na manję wielkości. Mają Lwów i Kraków teatr i my go mieć musimy — tam pozakładano ogrody i skwery, my także mieć to musimy — pomniki stawiaćbyśmy chcieli, chcemy nawet stolicy imponować. sprawiamy walec parowy do wygładzania ulic. kosztujący bająnskie sumy, sami wnioskodawcy przyznają się do dziewięciu tysięcy zlr., ale bodaj to prawdą było! Pewnie tym panom wielkomiałowcom lwowski tramwaj elektryczny spać nie daje, ale niech posłuchają dobrej rady, będą mieć tańszym kosztem coś całkiem oryginalnego, mianowicie tramwaj łyżwowy do jazdy po błocie — co za pyszna myśl! za pomocą akkumulatorów zamiast tonąć jak dotychczas w błocie, z szybkością elektryki łyżwować się w wózkach po błocie. — Myśl kolosalna, warta zastanowienia, patent możemy odstąpić znanym inżynierskim powagom. — Skandal i jeszcze raz skandal! na przyjemności, fanaberje, eksperymenta inżynierskie pieniądze są, na zgartywanie błota, na oświetlenie ulic pieniędzy nie ma. — I owszem. chwalebna rzecz teatr i t. d., ale wprzód oczyszcmy stajnie Angiasza i nasze szabasowe latarnie.

Teatr.

We wtorek 22. b. m. przedstawioną została „Piękna Helena“ operetka Offenbacha. Muzyka i treść zbyt są znane jako arcydzieło swego rodzaju. Co do wykonania, to było pod każdym względem wzorowe. Świetny śpiew i gra p. Radwan, miły i umiejętny głos oraz iście parysowski wygląd p. Reckiego, oto największa atrakcja tej sztuki u nas. Wyborna gra p. Myszkowskiego w roli Kalchasa była nieporównaną i do homerycznego śmiechu pobudzającą, reszta nastrojała się do udatnej całości. Podnieść należy bogate kostjumy i troskliwą reżyserję, która nawet o tem pamiętała, że Helleni mieli jasne włosy.

We czwartek jako w smutną rocznicę ostatniego rozbioru Polski przedstawiono wybornie „Ofiary z roku 1863.“ a w sobotę „Barona cygańskiego“ też pod każdym względem świetnie tak, że należałoby życzyć, aby go powtórzono. To samo można powiedzieć o „Dzwonach“, „Palestrancie“, a z dotąd niewystawionych chciałyby publiczność ujrzeć „Orfeusza w piekle“, „Życie paryskie“ it. p.

Z upragnieniem u nas oczekiwana operetka „Szytgar“ została po raz pierwszy we wtorek dnia 29. października przedstawioną. Operetka ta należy do lepszych, ale nie od powiada tej reklamie i wprawie jaką narobiła. Śpiew pojedynczych artystów był znakomity, głównie pp. Radwan i Bronikowska, oraz pp. Orzelski i Recki tak dalece zachwycili publiczność, że ta ich do powtarzania efektowniejszych aryj zmuszała. Pan Myszkowski był nieporównanym dyrektorem. Całość wypadła bardzo dobrze. Dekoracje piękne a kostjumy w podziw nas wprowadziły, bo nie ustępowały kostjumom scen pierwszorzędnych. — We czwartek dano na ogólne żądanie po raz drugi „Szytgar“.

Cieszy nas bardzo a niewątpliwie i p. dyrektora, że się u nas teatrowi tak świetnie powodzi — wszystkie sztuki robią kasę i to pełną.

Mała uwaga: Drzwi z bufetu do sali powinny być stauowczo albo zamknięte, albo przez strażaka strzeżone, tamtędy wiażą rozmaite indywidua a co najgorsza, że z powodu szalonych — przez otwieranie — przeciągów, zgrzana publiczność naraża swe zdrowie.

NADESŁANE.

Jan Tarnawski kucharz

najlepsze rekomendacje posiadający, przyjmuje laskawe wezwania do wszelkiej pracy w zakres jego fachu wchodzące, zajmuje się kompletnem urządzeniem najwspanialszych obiadów, uczt, godów weselnych i t. p., rękując za najlepsze i najtańsze wywiązanie się z poleceń. — Mieszka na Górze, gdzie też laskawe zamówienia nadsyłać uprasza.

Kupuję

ptaki dzikie do wypychania, świeżo zabite, nie uszkodzone widocznie i krwią nie powalans. — Także i rzadsze zwierzęta. Zgłoszenia pod „Ptaki“ poste-restante.

W oknie wystawowym pp. Szymańskiego i Maulika wystawione są obrazy olejne według fotografii, robione przez firmę: „Societe de Peinture parisienne“.

Firmę tę przedstawia Aleksander Grau Wundmayer. — Bliższa wiadomość w handlu.

Sztuczne kwiaty

z jedwabiu, atłasu, pluszu i t. d. po cenach najumiarkowańszych, robione na sposób warszawski są do nabycia. — Bliższy adres w Redakcji.

Kupię sto flaszek na wino.

Zgłoszenia pod „Flaszka“ poste-restante.

Hauptstädtische Wechselstuben-Gesellschaft

ADLER & Comp.

daje losy w ratach miesięcznych płatne, pod najlepszymi warunkami. — Zastępstwo w Stanisławowie. — Wiadomość w Redakcji.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 1. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 1. listopada 1895.

CÓRA WOJEWODY

POWIEŚĆ.

I. Zwiastun wojny.

Szalony wicher luczycy po stepie, tumany śniegu wzbijają się pod obłoki, by po chwili znów spaść na ziemię. Wysokie ukraińskie burzany głucho szeleszczą po bagnistych oczeretach, stada wron i kruków nawołują się chrapliwym głosem, od czasu do czasu przemknie sumak lub płochliwy zajac, z odłali słycać przeciągłe wycie zgłodniałych wilków, których ślepią jak błędne ogniki latają po pustynnych jarach. Załedwie czasem z poza ciemnych chmur księżyc na młodziu wychyli swe białe liczko, oświecając mławym blaskiem niezmierny step. — Któżby w noc taką, na bezludnym stepie, po okiem niezmiernych przestrzeniach, wśród tylu niebezpieczeństw zewsząd grożących, śmiało podróż odbywać? Myśl sama już straszna, tu śniegiem zakryte, zdradne oparzeliska, niebacznego jeźdźca w grób mokry, w swe topiele pociągnąć mogą, tu wilków zgłodniałych gromada czeka tylko łupu, a kruki i wrony ostrzą dzioby, by spaść na żer przez oprawców pustyni, przez wilków porzucony.

A jednak mimo takiej grozy, mimo tylu niebezpieczeństw czyhających na stepie, słycać z daleka głucho, śniegiem przytłumiony tentent pędzącego rumaka. I pan i koń czują aż nadto, że jedyne ocalenie pokładają w rącznych nogach bieguna. Jakby strzała z tatarskiego łuku, pędzi rumak po stepie, nie wstrzymuje go jeździec, przeciwnie, bodzie ostrogami do krwi biedne zwierzę, bo i strach przed wilkami każe mu resztek sił z konia wydobyć i ważne poselstwo, z którym jedzie, nie pozwala mu na zwłokę. Pędzą tak wciąż dalej, a step się z pod kopyt rumaka usuwa. Wreszcie z daleka widać już zarysy wielkiej budowli. Gdy na chwilę księżyc z swych opon się wychyli, widać zamczysko czarne od starości, z ciosanych kamieni postawione baszty i wieżyczki, rowy i okopy, mosty zwodzone czynią ponurą budowlę jeszcze groźniejszą. Nic dziwnego, zamki na kresach stawiane, musiały być obronne. Częste bunty kozactwa, bliskie sąsiedztwo Moskwy i ciągle napady dzikich hord tatarskich jedynie w ten sposób mogły być w ich zapędach powstrzymywane.

Zamek, o którym mowa, przebył już wieki, zawsze na służbie Rzeczypospolitej, był to posterunek najbardziej na południowy wschód posunięty, nieraz opierać się musiał obcym najazdom, powstrzymywał najezdnicze hordy, oblężenia tygodnie i miesiące trwające odpierał zwycięzko.

Już z górą lat czterdzieści panem zamku był wojewoda Jan Kresowiecki. Wojewoda owdowiał dawno, a całą miłość swego szlachetnego serca przelał na swą jedyną córkę Bronisławę.

Bronia jak ptaszek chowała się zdrowo i wesoło pod bokiem ojca, na niczem jej nie zbywało, chyba na towarzystwie rówieśnic. Małą dzieciną odumarła ją matka, piastunka ruska wychowała ten piękny kwiatusek, wykarmiła swem mlekiem, do snu piękne i rzewne piosenki ludu ukraińskiego swej gołąbce białutkiej spiewała. — Gdy podrosła, sprowadził ojciec dla edukacji córki daleką kuzynkę, nauczycielkę z zawodu. Pan wojewoda nie szedł śladem prądów ówczesnych, które już cudzoziemczyzną, a z nią upadek moralności i religii sprowadzały. Nie wziął dla swej córki zamorskiej guwernantki, lecz całkiem słusznie obyczajem przodków, gdy matki nie stało dla młodej latorośli, sprowadził krewniaczkę, by córce nietylko wiedzy książkowej ndzielała, lecz by z niej rzadną gospodynię zrobiła, wpajając w młode jej serduszko zasady świętej wiary. Sam wojewoda nie wiele miał czasu zajmować się córką, lecz ile mu czasu od zajęć rycerskich i rozległej gospodarki zostawało, poświęcał córce, ucząc ją kochać ojczyznę, opowiadał jej dzieje ojczyste, uczył ją być dumną, że jest córką polskiego narodu. — Ciotka miała jej dać naukę, uprawić w gospodarstwo i zaszczerpić wiarę w jedyne Boga. Ojciec chciał ją mieć dobrą córką ojczyzny. Bronia była pojętną i pracowitą, nauka szła łatwo, tak więc wzrastala dziewczeczka pod okiem troskliwych wychowawców, aż na piękną pannę wyrosła.

Niechaj nasz jeździec spieszy do zamku, tymczasem zapoznamy czytelnika z resztą mieszkańców zamku i wzajemnym ich do siebie stosunku.

Że w zamku znajdował się stary burgrabia, liczna czeladź i załoga, o tem nie ma co wiele wspominać.

Byli tam jednak dwaj młodzieńcy z starej ruskiej szlachty, wojewoda odbił ich przed laty, gdy jeszcze małymi byli chłopcami, tatarom uciekającym z jeńcami, wziął do zam-

ku i wychował jak własnych synów. Chłopcy starsi byli od Broni. Starszy Roman miał lat dwadzieścia osiem, młodszy Aleksander dwadzieścia sześć, Bronia załedwie siedmnaście liczyła wiosen.

W czasie gdy się nasza powieść zaczyna, obaj bracia kochali się w Broni z różnem szczęściem, bo sprzyjała Romanowi, który był piękniejszy, gładzi w obejściu, spiewał pięknie i przygrywał na kozackiej bandurce. Aleksander był ponury, nietowarzystki. Nic dziwnego, że starszym zajęło się serduszko dziewczyny.

Jeździec na spienionym koniu przypadł do zamku, zastukał młotkiem o spiżową tarczę, z zamku strażnik zapytał go o nazwisko, poczem spuścił most zwodzony i jeździec wjechał do zamku. Był to stary kozak Łeś Wichura, starszy z sotni Semenów, jechał z listem od swego atamana. Mimo spóźnionej pory oświadczył, że się musi natychmiast widzieć z panem wojewodą. Zbudzono wojewodę i po chwili wpuszczono kozaka do sympialnej komnaty.

Na obszernem staroświeckim łożu, skórami łosiów wysłanem spoczywał pan zamku, kaganek niepewnym światłem oświecał dużą komnatę, na kominie ogień przygasał.

— Cóż mi nowego przywozisz mój Łesiu?

— Pokłon od atamana i to pismo, to mówiąc wyjął z zanadru zwitek pergaminu.

Wojewoda kaganek przysunął, pismo otworzył, rzucił okiem i pobladł. Można było zblednąć otrzymawszy takie pismo. Ataman pisał:

„Jaśnie Wielmożny panie Wojewodo!

Chmielnicki z nieprzeliczoną czernią kozaków zbuntowanych połączył się z Tuhaj bejem i wraz z tatarami ciągnie w stronę zamku, by go zdobyć i dalej dążyć na Wolyń, mnie o tem donieśli zbiegi z obozu Chmiela. Nie wiem co mam czynić. Sotnie moich kozaków stoją w pogotowiu. Nie osmielam się z żadną radą występywać, ale nie wiem czy w razie starcia można polegać na naszych Semenach, zawsze to ich bracia z przeciwnej strony, do tego ludzą ich złotą wolnością, zniesieniem pańszczyzny, udzielnem księstwem ruskiem pod Chmielnickim i tym podobnemi bredniami. Jak wspomniałem ja i moi kozacy stawimy się na wezwanie pana wojewody, za siebie ręczę, za kozaków niezupełnie. Wiem, że jaśnie Wielmożny Pan Wojewoda w tej potrzebie

najlepiej postanowi, dlatego oczekujęz niecierpliwością rozkazów, bo nam już tu wkrótce ciepło być może.

JWP. Wojewody sługa

Dymitr Kernyczenko, ataman.

Zadumał się wojewoda list ten otrzymawszy. Zatem wojna nieunikniona, Chmielnicki dalej prowadzi swe szatańskie dzieło, dalej chce wieść bratobójcze zapasy. Niech go tam Pan Bóg jak najrychlej pokarze, ale cóż tymczasem mnie czynić wypada, myśli wojewoda. Pomocy z nikąd nie można się spodziewać, wojska koronne zaledwie zaczynają się zbierać, pospolite ruszenie jak zwykle długiego potrzebuje czasu nim w pole wyruszy, a tu miecz Damoklesa nad głową. — Zamku opuścić nie mogę, nie na to przez lat czterdzieści zażywałem tu pokoju, od czasu do czasu odpierając mniej groźne napady, by teraz gdy prawdziwe niebezpieczeństwo zagraża opuścić to ważne stanowisko. Król pokłada we mnie widać ufność, gdy mimo późnego wieku nie odbiera kluczy. Dobrze! okażę się godnym królewskiego zaufania, raczej pod gruzami zamku dam się zagrzebać, niż oddam ten zamek na łup bezkarnie. Cóż jednak stanie się z moją dzieciną, z moją Bronią najdroższą, ha! trudno, muszę powtórzyć wiekopomne słowa obrońcy Olsztyna: „wprzód niżli ojcem, wprzód byłem polakiem!“ Bronię odeszłą do siostry, pani kasztelanowej, dam jej poczt z najlepszych ludzi, niech ją Roman zawiezie... tak będzie najlepiej. Ciężko mi przyjdzie najdroższą mą córkę pożegnać może na zawsze... ale to dla jej ocalenia. Hej! Tymko, zwołać ludzi do dużej sali.

II. Bracia.

Tej samej nocy, o tej samej porze w zamku w pokoju paniczów — jak ich służba nazywa — następująca toczy się rozmowa:

— Wszystko postanowione, z góry ułożone, żadna moc już tego nie wstrzyma, Chmielnicki wraz z straszną nawałą kozaków i tatarów ciągnie w te strony, może już jntro zamek oblegną, tak mówi młodszy Aleksy.

— Skąd ty jednak masz tak dobre wiadomości, tu w zamku nikt o niczem nie wie, a ty znasz najdrobniejsze szczegóły, jakieś mi mówił.

— Tobie jako bratn powiem wszystko, ty mnie nie zdradzisz, zresztą jesteśmy obaj rusini i musimy razem trzymać przeciwko naszym wrogom.

— Kogoż ty wrogiem nazywasz?

— Kogo? polaków, czyż to nie czas zrzucić pęta tyranów, którzy od wieków w ciężkiej nas gnębią niewoli. Lud nasz gorzej od bydła sromotnie dźwiga jarzmo, wiarę w nas świętą chcą zabić, jezuitów sprowadzają i ty się pytasz kto wrogiem naszym? Czyż mało krzywd od wieków znosimy, czyż nie czas nam wstrętne zrzucić okowy?

— Nie unos się mój Aleksy, mówisz jak w gorączce, ja punkt za punktem z łatwością zbiję twoje zarzuty. Lud ruski nie pęta nosi, lecz połączony z bratnim swym narodem, wspólnie z nim raduje się i wspólnie cierpi, wszak bez różnicy, czy to chłop polski, czy ruski tak samo jest w niewoli, a raczej znosi poddaństwo; ale to samo masz w Niemczech, gdzie chłop jest „leibeigen“ to samo na całym świecie. Dalej co się tyczy wiary, cóż dziwnego, że polacy pracują nad przyciągnięciem rusinów na unię, wszak to w ich interesie, aby tym silniejszym węzłem połączyć ich z sobą, a co do zrzucenia niewoli, to nikt nas nie brał w niewolę, samiśmy się dobrowolnie z polakami połączyli dla tem lepszej obrony, a ci co powiadają, że klęska pod Zawichostem oddała rusinów polakom, mylą się bardzo, bo rusini sami połączyli się jak i Litwa z polakami. Zresztą gdyby nawet jakie krzywdy były, to nie tobie o nich mówić, wszak wojewoda tatarom cię odebrał, wychował i za syna uważa, a ty to nazywasz niewolą, inaczej by ci było w niewoli tatarskiej.

— Wszystko mi jedno, ja swego przekonania nie zmienię.

— Gadasz wiele, a rzeczą męża jest działać, cóż uczynić zamierzasz?

— Co? pójdę do Chmielnickiego.

— Jakto i ty śmiesz mi to mówić, mnie o którym wiesz jak dobrym jestem polakiem, mnie dla którego całego życia nie wystarczy, by się za dobrodziejstwa wojewody odwdzięczyć, mnie śmiesz to mówić?

— Czemu nie dodasz: mnie co kocham wojewodziankę i dla niej gotów jestem zginąć — czemu tego nie mówisz?

— A! więc stąd wiatr wieje! Słuchaj Aleksy nie podoba mi się twa mowa, polityczne przekonania każdego szanować należy, ale prywatnie jest hańbą. Słuchaj, coś mi się zdaje, że i ty w Broni się kochasz?

— Tobie się tylko zdaje, co ciebie szczęśliwego kochanka obchodzić może czy ktoś drugi jest w stanie znieść boleść, jaką jest zawiedziona miłość, tobie się zdaje — słuchaj Romanie, może ostatni raz ze sobą mówimy, rozstańmy się jak bracia, lecz musisz wysłuchać mej spowiedzi z tej nieszczęsnej miłości, bo ja już dłużej kryć tego w głębi serca nie zdołam, mnie aż coś dławii, że się z nikim z mym bolem podzielić nie mogę..

— Żal mi cię bardzo, mów, słucham.

— Gdy tatarzy zabiwszy nam rodziców, nas w jassyr zabrali, ty miałeś lat dwanaście, ja dziesięć, wojewoda odbił nas tatarom i do tego przywiózł zamku, tu zastaliśmy nieboszczkę wojewodzianę, która się nami jak synami zaopiekowała i małeńką Bronię w kolebce, ach! śliczna była to dziecina, wtedy już gdy na palcach skradałem się po cichu, by nie przerwać słodkiego snu dzieciny, wtedy już kochałem ją więcej niż cokolwiek na świecie, później, gdy biegać zaczęła, za-

bawa z nią była mi najpożądańszą nagrodą, z roku na rok miłość moja wzrastała, potężniała, z dziecinnej i chłopięcej stała się młodzieńczą, prawdziwą i dziś bez niej żyć nie mogę i wszystko poświęcę, wszystko uczynię, byle ją dostać..

— Miłość cię zaślepia i czyni samolubnym, pomyśl tylko, że tak samo jak ty, tak samo i ja, jota w jota kochałem i kocham ją szczerze, prawdziwie, lecz kocham ją nie tak samolubnie jak ty, ponad swoje szczęście stawiam jej szczęście i wierz mi, gdybym wiedział, że ciebie kocha, zrzekłbym się marzenia o niej i nie chciałbym stać na przeszkodzie do szczęścia.

— Łatwo tobie bawić się w szlachetnego, gdy wiesz, że posiadasz wzajemność, ale czybyś na prawdę tak uczynił jak powiedziałeś, będąc na mojem miejscu, to wątpię.

— Nie wążp, proszę cię, bo ja szczęście Broni nad wszystko cenię.

Wtem ozwały się z wieży trąby na znak, by się załoga zbierała.

— Cóż to, zawołał Roman, zamek się nie daj Boże pali, że trąbią na alarm?

— Nie, ale muszą już wiedzieć o przechodzie Chmiela i chcą radzić nad obroną, lub ucieczką.

— Nie obawiaj się, o ile znam wojewodę, przyjmie oblężenie.

— Toby było czyste szaleństwo, Chmielnicki z tatarami liczy około 20000 ludzi, zagrzebią wojewodę w jego starym zamku jak borsuka w jamie.

— Nie tak łatwo im to przyjdzie, wprawdzie nasza załoga liczy tylko trzystu ludzi, ale to żołnierz wyćwiczony, a nasze sotnie Semenów czekają tylko znaku, by załogę zwiększyć, z Semenami będzie nas około dwóch tysięcy, więc jeden na stu, ale tamto tałatajstwo z łotrów całego świata pozbierane, nasi, stary, bitny żołnierz, oni w polu, my w warownym zamku, diabła zjedzą nim nasz zamek zdobędą, głodem nas nie zmorzą, w lochach podziemnych jest żywności na rok, nawet dla takiej załogi, chociaż to zbyt, wkrótce nadejdzie wojsko koronne, ażeby to plugastwo wytępić.

— Ładnie mówisz, szkoda tylko, że bez racji, oni nas strzałami zasypią, pod zamek się podkopią i wykurzą z łatwością!

— Zobaczymy, tymczasem muszę iść na rozkazy, a ty co zrobisz?

— Ja? to do mnie należy, zobaczysz, tymczasem bądź zdrow, żegnaj cię jak na zawsze, bo kto wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy.

Bracia padli sobie w objęcia, nie czując do siebie żadnej urazy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Techtel-Mechtel z przeszkodami.

I.

Iwonicz.

Ta ziemia nasza, to cudna krajina:
 Nie mamy morza, nie ma u nas wina,
 Jednak cudownych okolic tak wiele
 Tu u nas w Polsce i rzec mogę śmieć,
 Że mało krajów poszczycić się może
 Tak piękną ziemią jak nasza, lecz Boże,
 Nietylko ziemię dałeś nam przecudną,
 Bogatą w sioła i miastami ludną,
 Lecz dałeś skarby w tej ziemi ukryte,
 Które do I-ków mogą być użyte. —
 Ot nasz Iwonicz, naszych zdrojów perła,
 Żadne mu inne nie odbierze berła
 Z naszych zdrojowisk słonawo-jodowych.
 Cenne dla chorych, przyjemne dla zdrowych.
 Wąwóz zaciszny, wieńcem otoczony
 Lesistych wzgórz, liść bujny, zielony
 Daje uroku, jodły niebotyczne,
 A wśród nich dęby, nasze brzozy śliczne,
 Młode modrzewie, graby, gęste krzewy,
 A wśród nich wieczne leśnych ptasząt spiewy.
 Zakład — rzec można — dobrze utrzymany:
 Deptak wygodny, obficie skrapiany;
 Więc kurzu nie ma, wyborna muzyka,
 Która ożywi nawet samotnika.
 Źródła z komfortem skryte w pawilonie;
 Wieczorem światło elektryczne płonie.
 Cóż więc dziwnego, że z całego świata
 Zjeżdża tu ludność przeważnie bogata?
 Życie tu drogie — miejsce kąpielowe
 Musi być drogie — lecz powietrze zdrowe,
 Cudna woń lasów szpilkowych upaja
 I do marzenia miłego nastraja. —
 Muszę też wspomnieć i ciebie pieśniczko,
 Gości tutejszych uroczą Belkotko:
 Dziwo czy cudy to źródło w lesie?
 Widocznie naftę w swoich wodach niesie,
 Ta tworzy gazy, które zapalone
 Palą się jasno — twe oczy zdziwione
 Patrzą na wodę, co się u stóp pali;
 A cóż dopiero gdy wieczór z oddali
 Ujrzysz płomienie, widać po twej minie,
 Że myślisz: „W zaklętej jestem krainie“.

II.

Półów skutkiem uwieńczony.

Już w całej pełni sezon kąpielowy,
 Jeden odjechał, znów przyjechał nowy,
 Ciągłe się zmienia jak w kalejdoskopie:
 Ten jechać musi, bo już po urlopie,
 Tamten przybywa, bo znów urlop dostał,
 Ten chciał odjechać, ale jeszcze został. —
 Od dawna tu bawi pewna piękna pani,
 Młodzież z stolicy hołd jej niesie w dani,
 Lecz tutaj chorzy, albo emeryci,
 Którzy już wdzięków kobiecych są syci,
 Więc się śmiertelnie nudzi pani młoda,
 Daremnie marnieje jej cudna uroda,

Nikt nie podziwia wysmukłej kibici,
 Bo o pieczeni myślą emeryci.
 Daremnie nóżką suwa po deptaku,
 Bo amatorów nie ma ani znaku. —
 Wtem, o radości! przyjechał z Krakowa
 Pan doktor Mendel, wnet figura nowa
 Przypadła w guście pani... jak się zowie,
 Nie! tego pióro moje nie wypowie!
 Nie chcę uchybić ja kobiecej sławie,
 A jeśli kto się zapyta ciekawie,
 To go odeszłę prosto do „kurlisty“,
 A tam jej adres znajdzie rzeczywisty.
 Pan doktor Mendel przystojny, wysoki,
 Z przepyszną brodą, przytem czarnooki;
 Miał jedną wadę: Był żydem niestety,
 Lecz w oczach pani te inne zalety:
 Zdrowie, postawa, więcej zaważyły;
 Dość, że pan doktor był jej wcale miły.
 Świetna kokietka zarzuciła sieci
 I czeka rychło gruby karaś wleci.
 Nie omyliły jej wcale rachuby,
 Niebaczny doktor szukał niemal zguby,
 Poznał się łatwo, w kąpielach nie sztuka,
 Założył cwikier, na panią X kuka;
 Z każdym dniem śmielszy, już ramię podaje,
 O emerytach myśli, że mazgaje.
 Do źródła chodzi, choć wody nie pije,
 Bo ona chodzi, Lecz dotąd niczyje
 Oko nie zlego w stosunku nie widzi,
 Ledwie czasami jakiś facet szydzi,
 Powiada: „romans z żydem, to nie ładnie!“
 Tymczasem ona swoją rybę zdradnie
 Mota wciąż dalej w swojej słodkiej sieci...
 O, teraz ptaszek pewno nie uleci!

III.

Niedźwiedź straszy kochanków.

Kiedy pan Mendel coraz więcej bryka,
 O psotach myśli pewnych panów klika.
 Było nas młodych towarzyszy grono,
 Więc między nami zgodnie uradzono
 Śledzić tę parę i czynić jej psoty;
 Oni tymczasem jak marcowe koty
 Chodzą do lasu i w górnej glorjencie
 Prowadzą miłość. — Nigdy nie zgadniecie
 Co za psikusa zrobiliśmy parce,
 Gdy coraz śmielej swe miłosne harce
 Wiedli wśród lasu. — Dnia im było mało,
 Ledwie na dworze trochę pociemniało,
 Już szli do lasu i tam do północy
 Bawili się świetnie, bez cudzej pomocy.
 Jeden z nas skórę z niedźwiedzia pożyczył,
 Dwa dni bez przerwy w ryczeniu się ćwiczył,
 Wreszcie już przyszedł do takowej wprawy,
 Że ryczał pysznie, a w sam dzień wyprawy,
 To prawie ochrypl, tak się ćwiczył pilnie
 I naśladował niedźwiedzia usilnie.
 Wieczór był jasny, zanim wyszła para:
 Pan doktor Mendel i jego gitara,
 Poszliśmy w gąszcze do górnej glorjetki,
 I tam czekamy żyda i kokietki,
 Wtem słychać głosy, widać się zbliżają;
 Moi koledzy w krzakach się chowają,

Ja z nimi społem. — Przychodzą ptaszęta;
 On zakochany patrzy w jej oczęta,
 Postać jej smukłą do piersi przyciska,
 Pewnie całusów moc wielką uzyska,
 Bo już zaczyna całować twarzyczkę,
 Pieści, całuje swą piękną różyczkę;
 Wtem ryk straszliwy i niedźwiedź wypada,
 Staje na łapach ta leśna szkarada,
 Wprost na kochanków przeleknionych kroczy,
 Ona się kryje za słup na uboczy,
 A Mendel poczuł snąc zajęczość skóry,
 Widzi przed nosem straszliwe pazury.
 Przez zapomnienie po żydowsku biada,
 Zemdłał nieborak i na ziemię pada.
 Niedźwiedź im rzucił kawał białej karty,
 A na niej stoi: „To są tylko żarty,
 Ale na prawdę tę wam daję radę:
 Porzućcie takiej miłości szkaradę“.

(C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

* Także jeździec.

Rotmistrz: (przedstawiając swego przyjaciela) Mój przyjaciel, Stanisław Świszczyński, urzędnik rachunkowy.

Dama: Czy przyjaciel pański jest tak dobrym jeźdźcem jak pan?

Rotmistrz: O! jeszcze lepszym, on jeździ po każdym cencie lepiej niż ja na koniu.

Dyrektor teatru do debiutantki: Próbowalaś już pani kiedy roli naiwnej?

Debiutantka: Tak panie dyrektorze, byłam już trzy razy zaręczoną.

* Niebezpieczna rozmowa.

— Panie Zygmuncie, czemu pan nie bawisz panny Klary?

— To nie możebne, cokolwiek powiem, uważa za oświadczyńcy.

* W zakłopotaniu.

Feldwebel: Czy to twoja siostra, którą wczoraj pod ramię prowadziłeś?

Gemajner: Nie, jeszcze nie.

A. Więc pan nic nie robisz, żyjesz pan tylko z procentów?

B. Tak, ale żebyś wiedział co się mój wuj napracował nim ten majątek zebrał, ja teraz za niego wypoczywam.

* Także specjalność.

(Ogłoszenie). „Akademicznie wykształcony fryzjer poleca się względem Szanownej P. T. Publiczności. — Specjalność: Malowanie Pań.“

* Naiwne.

Matka: Powiedz mi Jasiu, gdzie ci lepiej smakuje obiad, u mamy czy u babci?

Jaś: A niech mama zgadnie?

Matka: U mamy.

Jaś: Proszę mamy jeszcze raz zgadnąć.

Przygody pana Józefa Magenduffa na świeże powieczy.

Opowiedzieć cza państwu moi utrapieni
Z tego świeży powieczy i próżny kieszeni:
Jestem kupiec blawatny, na placu krakowskie
Jest mój handel pomiędzy te inne żydowskie,
Tam ja szedzy za lady od żymy do lata,
A kolo mnie jest Malczy, kolo swego tata,
Pół tuzina młodych, ładnych Magendufcików,
Czy dziewczynki sehr szeine i czech mam
[chłopezyków.

W sklepiem szedział jak w raj, raz mię cosz
[zawiało,
Potem mię w nosze, w gęby, w uszach
[zatykało;

Wołam doktor Fajteles, to jest mądra głowa,
Nu, mówi Fajteles, to nie jest rzecz nowa,
To przestarzałe eierpienie. „Wisz pan co robić,
Naprzód ucho, giemby i nos cza wyskrobić,
Potem do szwicu cza pójść, kompać ze czy
[razy,

Potem świeży powieczy“. Na takie rozkazy,
Mówię do Malczy: Spakuj poszczeli i bety,
Icek będzie tu w sklepie, zrób z gęsi kotlety,
Jedzienty na powieczy. — Malczia już pracuje,
Pakuje nas do drogi — bidaczka szwicuje,
Bo to osiem osoby wystać na powieczy,
To bidny knbity pot po szyi cieczy.

Wreszci wszystko gotowy, jedźmy tramwajem,
Bety poszły na taczki, szciskamy nawzajem.
Na dworcu, mówię Malczy aby. dogładniła,
Aby bachura lub cosz z betów nie zgubiła.
No, chwalicz pana Boga siedzimy już w coupe,
A taki się tam żydów nazbierała kupe,
Że nie można oddychać; wołam konduktora.
Panie, mówię, ja chory, moja żona chora,
A pan nas tu wpakował, jak szledzi do beczi.
Nu, czego pan krzyczysz, czekaj pan chwyleczki,
Znajdę inne coupe, a w tem czuć dzwonicie,
„Fertig, gotów“, jedziemy, już się nie odmieni.

I.

Przygoda z kąpielowy rak.

Ledwie my przyjechali na świeży powieczy,
Zaraz Malczy na płoczy, suszyła na wieczy,
Naszy reisegepeki jak się jedże z dzieci,
To czasem czeba suszyć, państwo rozumiecie,
Chwalicz pana Boga, no! już jesteśmy w Skole,
Mnie już z wielgi uczechy nic w nosze nie
[bole,

Miszłę sobie, ej Józiu! powieczy kosztuje,
Niechaj Malcza tymczasem mieszkanie rych-
[tuje,

A ty pójdziesz wikompać, zabieram chłopaki
I idę do Oporu. — „A jak tu są raki?“
Zapita mały Ignac, to chłopiec przyscipny,
„Ej, nie bój sze“ odpowiem, „rak nie jest
[zaczyppny,

Jak zobaczy z daleki tak wielki zwirzety,
Zaraz wciekni do dziury“. Ignac mi zachęty

Wcale nie dodał ze swoje wspomnienierakowe,
Lecz od czegoż ja tatku i mam mądre głowe.
„Also gicher bachury, rozbiracz spodniki,
Pozakładać szwimhozy na swe łydki czenki
I do wody bez strachu“. „Niech tatku wlazuje,
Niech tam tatku namaca i dobrze sprobuje,
Czy tam nie ma te raki“ — ha! co było robić,
Udaję odważnego, chciałbym się poskrobić,
A tu śliski kamienie sunie mi z pod nogi
I już leży jak długi, na mokry podłogi,
Chciałem mówić na wody, co to za uczechy,
Pliwam sobie na brzuchu z radości i śmiechy,
Rozkoszuję w mokroszczy i pędzę bachury:
„Anu, kinder do wody, nima rak ni dziury“.
Powiazali chłopaki, zaczynają hece,
Jeden chlapie drugiemu na głowy, na plecy;
Ja sze tylko przewracam i macham z nogami:
To jest kąpiel paradna, to nie szwic z miotłami.
Wtem mię coś uszczyppniło, giwałt co się dzieje!
Sam nie wiem co krzyczę: „giwałt! rozbój!
[złodzieje!

Miszłę, może szwimhozy kamień zaczepiały,
A tu szczyppie wciąż mocniej, z strachu
[skamieniały,

Wiskakuję z wody jakby kamień z procy
I krzyczę w niebogłoty ile mie stać mocy,
A tu chłopcy skrzykniali: „Kik, tatku bidaka,
Złapał na szwimhosen ogromnego raka“.
Łapię z ręką za moje zbolale szedzenie,
A tam czyma rak płótno z wielgi natężenie.

(C. d. n.)

Ciekawość ukarana.

Humoreska.

I.

Piotr Miotelka był doktorem filozofii, do-
centem na uniwersytecie i majątnym. Był
jednak niezadowolonym ze siebie. Pomyśli
kto, że Piotr był brzydkim, więc nie ma
szczęścia w miłości — przeciwnie, był on
w całym słowa tego znaczeniu młodzieńcem
przystojnym, smukłym, dobrze zbudowanym,
oczy miał piękne, niebieskie, myślące, był
po trosze poetą, co filozofowi, docentowi li-
teratury słowiańskiej wybaczyć można, jakież
jednak był powód jego niezadowolenia ze
siebie? Całkiem błaby, mimo swej mądrości
książkowej i praktycznej czuł się upośledzo-
nym z powodu niskiego pochodzenia. Był
synem kominiarza, oto cały powód jego des-
peracji. — Inni na jego miejscu, synowie
szewców i t. p. „bawiliby się“ w demokra-
tów i nie mieliby żadnych pretensyj do Pana
Boga o swe pochodzenie. Piotr był innym,
już w szkołach do passji go przyprowadzało,
gdy go koledzy — wiedząc, że go to iry-
tuje — „kominiarczukiem“ nazywali. Będąc
synem zamożnego majstra, miał zwykle
„taschengeld“, więc na dziesięciu minutach
kupował biedaczysko tuzinami bułek i zatykał
niemi usta koleżkom. Lecz jak to malcy,

okup wzięli, lecz za to przez cały dzień na-
zywali Piotrusia „hrabczkiem“ by jutro
znów zacząć „ab ovo“.

Zaiste biednym był Piotruś, uczył się
dobrze, miał wszelkie rozrywki, cóż, kiedy
ten „kominiarczyk“ spać mu nie dawał.

Stary ojciec mawiał mu nieraz, gdy się
z płaczem skarżył: „Ucz się jeno Pietrek,
aby z ciebie ludzie byli, a niejeden z tych
„przemądrych osłów“, nie kominy, ale buty
pucować ci będzie“. Refleksje ojca nie po-
cieszały Piotrusia, tem więcej się uczył, zdał
wreszcie chlubnie maturę, przeszedł znako-
micie filozofię, a chociaż koledzy dawno za-
pomnieli, że kiedyś Piotrusia nazywali „ko-
miniarczuk“, był jeden, który tego zapomnieć
nie mógł, a był nim Piotruś sam.

Nieraz kolega jak zaczął go w celu „na-
pompowania“ go, Piotruś a wtedy już Piotr,
ostatniego centa oddawał, byle tylko nie narazić
sobie „kochanego“ kolegi i od niego ewent-
tualnie „brudny kominiarczuk“ usłyszeć.

Gryzł się i martwił pan doktor, ale na-
reszcie przyzwyczaił się, widział, że błąd
zaszły przy jego urodzeniu nie da się na-
prawić, roił teraz, aby nauką dojść jak naj-
wyżej i uzyskać tytuł n. p. hrabięgo. Widział
jak wszyscy zbliżają się do niego z wyszu-
kaną grzecznością, widział jak jest mile wi-
dzianym gościem w najlepszych towarzy-
stwach; cóż jednak, gdy tej „plamy“ nie
mógł zetrzeć.

Zdarzyło się raz, że na pewnym publicznym
balu poznał pannę Wiktorję, córkę radcy
Krzysztofowskiego, byłego właściciela dóbr,
herbowego szlachcica. Panienska była śliczna,
młodziutka, zwinua jak sarenka, filuterna,
chichotka — słowem, cacko.

(C. d. n.)

Kwadraty humorystyczne.

Myśli wy: Oddaj sroko ser, bo strze-
lam!

Sroka: (połykając) takiego sera się
nie oddaje, bo to z handlu Kajetana
Kopacza, to rarytas taki ementaler, ale
mi mówił stary kruk, ten z dużym no-
sem, że tam jest wyborne wino, może
pan spróbować, bo ja wina nie pijam,
obawiam się o moją pleć.

Kazik: Słuchaj Staszek, przecież ty
się nie uczysz więcej odemnie, a zawsze
masz lepsze klasy.

Staszek: Naturalnie, bo kupuję
wszystkie przybory szkolne w handlu
papieru p. Rutkowskiego, powiadam ci,
takie endowne! atrament i pióra piszą,
celujące zadania, a ołówek i radyrka
rysują wyśmienicie.

Kazik: Muszę też spróbować.